

Mariusz Karwowski

# Podbiegunowe herstorie

Jedna doradzała, by koniecznie wziąć ze sobą czerwoną sukienkę. Druga zrealizowała marzenie ojca. Jeszcze inna: „To nie jest miejsce dla kobiet”.

Trzysta pięćdziesiąt osiem. Tylu nazwisk można się doliczyć już teraz, ale Dagmara Bożek, autorka projektu „Polarniczki”, zapowiada, że to jeszcze nie wszystkie. Ma być ich ponad tysiąc. Specjalistki od meteorologii, glaciologii czy ornitologii. Uczzone zajmujące się botaniką, geomorfologią, ekologią i klimatem. Ale także geolożki, oceanografki, geofizyczki, palinolożki... Nie wszystkie przepadają za tymi żeńskimi końcówkami, ba, wiele zżyma się na określenie ich tytułowym mianem. Polarnikami to, owszem, byli Amundsen czy Scott, ale one? Za to każda bez wyjątku ma za sobą przynajmniej jedną wyprawę na daleką Północ albo jeszcze dalsze Południe. Rekordzistki nawet kilka. A niektóre bywały i tu, i tam.

## Jak kobieta, to pech

- Tato, tato! Nie zgadniesz, dokąd popłynę!
- No dokąd?
- Na Spitsbergen!

- Jak to na Spitsbergen?!

- No, płynę Oceanią na trzy miesiące na Spitsbergen z wejściem do stacji polarnej.

Cisza w słuchawce, a potem:

- No nie! Cały świat zjeździłem i jedyne moje marzenie, dokąd chciałem pojechać, spełniasz ty...

Paulina Pakszys, od której Bożek usłyszała tę anegdotę, pracuje na co dzień w Instytucie Oceanologii PAN. Pod biegunem była już trzykrotnie. Debiut zaliczyła przy okazji doktoratu, którego tematyka dotyczyła aerozoli atmosferycznych w europejskiej części Arktyki. Wtedy, w 2013 roku, kobiety mogły już na pełnych prawach uczestniczyć w wyprawach polarnych. Ale nim do tego doszło, nim pojawiły się w Hornsundzie i w „Arc-towskim”, w czterech sezonowych stacjach uniwersyteckich, a także w bazach terenowych, w środowisku zdominowanym przez mężczyzn przez wiele lat toczyła się zażarta dyskusja, czy taki „eksperyment” w ogóle ma sens. Przeciwnicy wytaczali



Polska Stacja Antarktyczna im. Henryka Arctowskiego na Wyspie Króla Jerzego, Antarktyka Zachodnia

argumenty natury psychologicznej (obecność kobiet miała rozpraszać, wpływać na napięcie seksualne, a to z kolei powodować frustracje i konflikty), fizjologicznej (kobiety uznawano za słabsze do pracy w takich warunkach), jak i... z pogranicza magii (kobieta na statku płynącym z ekspedycją miała przynosić pecha).

W efekcie, jak czytamy na stronie projektu, pierwsze kobiece nazwiska w składach wypraw polarnych pojawiają się kilkadziesiąt lat po tym, kiedy pod koniec XIX wieku pierwsi polscy badacze, Henryk Arctowski i Antoni Bolesław Dobrowolski, pojawili się w Antarktyce na statku Belgica. Szlaki przecierały Alina Centkiewiczowa, Zofia Michalska i Anna Siedlecka. O samodzielnym prowadzeniu przez nie badań nie było jednak mowy. Występowały jedynie w roli towarzyszek. „Nie miałam może określonej funkcji na wyprawie, ale prowadziłam fachowe obserwacje geologiczne opublikowane w Norsk Polarinstitut. Poza tym malowałam ściany, chodziłam na spacer, obserwowałam alki, koledzy zabierali mnie na przejażdżki łodzią. Wszyscy traktowali mnie przyjaźnie, z respektem” – opowiada żona Stanisława Siedleckiego, założyciela stacji w Hornsundzie.

Dopiero dwie dekady później, w końcu lat siedemdziesiątych, pojawiły się pierwsze samodzielne badaczki. Do prawdziwego przełomu doszło jednak dopiero w 1991 roku, gdy prof. Maria Olech objęła kierownictwo wyprawy. I to dzięki niej udało się uratować Stację im. Arctowskiego, której los wydawał się wów-

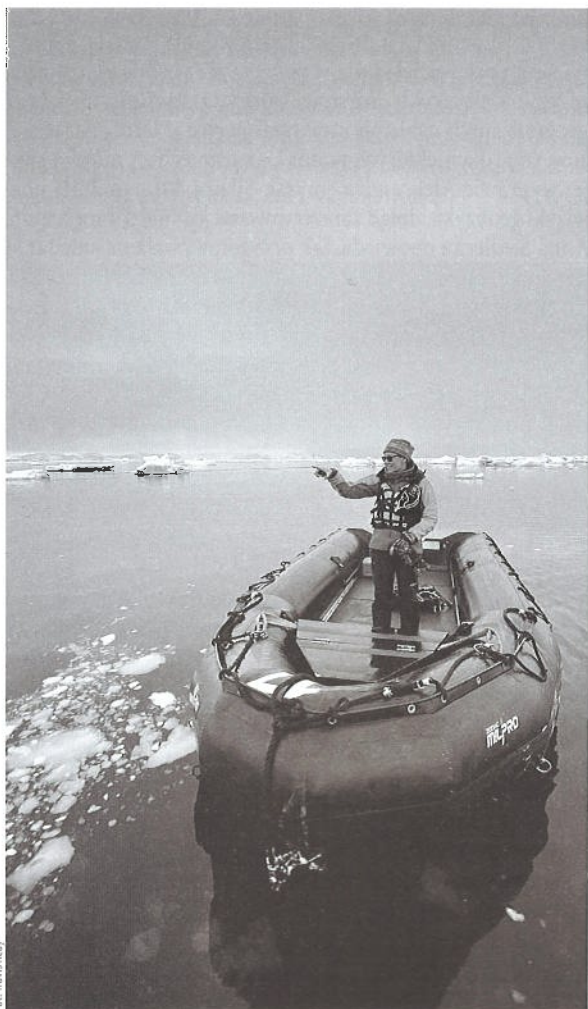
czas przesądzony. Od tamtej pory roli kobiet nikt już nie kwestionuje. Choć docinki, w żartobliwej formie, pozostały.

Nieco wcześniej panie dopuszczono do zimowania. Jak tłumaczy Bożek, panuje przekonanie, że tylko ci, którzy jadą zimą, zasługują na miano pełnoprawnych polarników. Te ekspedycje są trudniejsze i to nie tylko z uwagi na warunki pogodowe. Roczna izolacja w monotonnym, pozbawionym bodźców otoczeniu jest sprawdzianem dla każdego. „Zimownik” to wyższy stopień polarnego wtajemniczenia.

– Jesteśmy bardzo zadowoleni i zawsze będzie pani mile widziana w stacji – usłyszała Anna Kołakowska po pierwszym zimowaniu pod biegunem południowym, które spędziła, a jakże, w towarzystwie swojego męża Edwarda. Wspomina, że wszyscy traktowali ją podczas tego rocznego pobytu jak powierniczkę swoich problemów. Rola psychologa stała się dla niej obciążeniem. Gdy jechała następnym razem, postawiła warunek, by w wyprawie była koniecznie jeszcze jedna kobieta.

### Po przygodę i od świata

To właśnie takim jak one Dagmara Bożek postanowiła oddać głos. Zaznacza, że nie chce pisać historii polskiego polarnictwa na nowo, lecz spojrzeć na nią oczami kobiet, które w tych odległych i nieprzyjaznych rejonach świata wносиły wkład w rozwój polskiej nauki. Zagląda do archiwów, przegląda stare ilustracje, ale najcenniejsze są jednak rozmowy. I ze starszymi, do których jedzie niekiedy na drugi koniec Europy, i z tymi obecnie przebywającymi w stacjach, z którymi łączy się przez Internet.



Fot. Transfrej

Liliana Schönberger, ornitolog, Paradise harbour, Antarktyda, w pobliżu argentyńskiej stacji Almirante Brown, listopad 2019



Źródło: Muzeum Historyczne w Leningradzie

Alina Centkiewicz na radzieckiej stacji Mirnyj na Antarktydzie, 1958 rok



Fot. Arch. prywatne Anny Krzyszowskiej Waitkus

Anna Krzyszowska Waitkus, ekolog, ze Stanisławem Siedleckim, założycielem polskiej stacji badawczej nad fiordem Hornsund, Spitsbergen 1980 rok

Badaczki, administratorki, pracownicy techniczni... Te ostatnie stanowiska cieszą się u pań najmniejszą popularnością. Wyjątkiem jest Justyna Olbrycht, która od trzech lat jeździ do „Arctowskiego” i z uprawnieniami zodiak drivera opiekuje się sprzętem motorowodnym. Za to coraz więcej kobiet chce pełnić funkcję administratora stacji i odpowiadać niemalże za wszystko: zaopatrzenie, paliwo, inwentaryzację sprzętu, promocję... Wśród załogi dominują jednak badaczki, nierzadko pionierki. Marta Potocka jako pierwsza Polka prowadziła podwodne badania za pomocą metod nurkowania swobodnego. Z kolei Anna Krzyszowska Waitkus za pomocą własnej metody badała wpływ człowieka na środowisko.

Co je pcha na koniec świata? Bożek, pracując jeszcze w Instytucie Biochemii i Biofizyki PAN, uczestniczyła w rekrutacjach kandydatek na wyprawę, więc wie co nieco o ich motywacjach. Bywa, że kierują się chęcią przeżycia przygody: noce polarne, zorze, niedźwiedzie. Antarktyka kusi z kolei odległością – to prawie 14 tys. kilometrów od domu. I jeszcze odcięcie od świata. W całorocznych stacjach o to trudniej, bo działa Internet, można połączyć się z bliskimi, nie trzeba czekać, jak kiedyś, raz w miesiącu na audycję w Gdynia-Radio, ale w sezonowych jest to możliwe. Bez prądu? Kąpiel tylko dwa razy w tygodniu? W budynku opalonym drewnem, które trzeba wprawdzie porąbać? Dla wielu to kwintesencja polarnej ekspedycji. Te krótsze, dwu-, trzymiesięczne wyjazdy łatwiej też pogodzić z codziennym życiem niż roczne zimowania. Ale i od jednych, i od drugich można się uzależnić.

– W przypadku kobiet ten problem jest mniej widoczny, bo w pewnym momencie mówią „stop”: zostają w Polsce, decydują się na założenie rodziny, skupiają się na pracy naukowej. Nie ma takich dramatów jak u mężczyzn, którzy z racji częstych wypraw nieraz nie mają już do czego wracać. Życie w kraju nie stoi przecież w miejscu – tłumaczy Bożek.

W opowieściach, które zbiera, wspólnym mianownikiem jest zachwyty. W środowisku polarnym mówi się, że są dwie kategorie ludzi: zafascynowani regionami polarnymi i pozostali, przy

czym o istnieniu tych drugich krążą jedynie legendy. Wbrew pozorom najczęściej tkwią w pamięci nie wielkie ekscytujące przeżycia, ale zwykłe doznania, które w tamtych szerokościach geograficznych nabierają niezwykłego charakteru. „Bez ekscesów, więc dla niektórych nudna” – z uśmiechem mówi o swojej wyprawie Aleksandra Smyrak-Sikora, która pełniła obowiązki geofizyka, dotąd zarezerwowane jedynie dla mężczyzn. Anna Siedlecka opowiada, jak przygotowywała na śniadanie owsiankę, chowając ją zaraz po ugotowaniu do spiworu. Paulina Pakszys nigdy nie zapomni swojego polarnego chrztu, do którego została owinięta... folią stretchową. Barbara Noryśkiewicz pokazuje z kolei czerwony wełniany sweter z golfem z czasów pierwszej wyprawy z udziałem aż trzech kobiet. Chodzi w nim do dziś.

### Czyściej, z kulturą, elegancko

Obecność pań – opowiada pół żartem, pół serio Bożek – sprawiła, że w stacjach zrobiło się czyściej, a panowie przestali przeklinać.

– Stacje polarne pokazują, jak bardzo nawzajem jesteście sobie potrzebni. W sytuacjach konfliktowych panowie wolą czasami krzyknąć, żeby te emocje rozładować, kobiety natomiast skłaniają się ku mediacji, szukają punktów stycznych, żeby na spokojnie omówić jakiś problem – opisuje, przywołując słowa jednej ze swoich bohaterek, która mówiła, że na jej wyprawie nikt się nie pobił ani też nie odważył się przyjść na śniadanie w piżamie. To niby drobiazgi, ale na takim odludziu powodują pewną zmianę sposobu bycia.

Przygotowanie na ekspedycję polarną to – zwłaszcza dla kobiet – musi być prawdziwe wyzwanie. Co koniecznie wziąć ze sobą, o czym pamiętać przy pakowaniu się, jak się z tym wszystkim zabrać? Dagmara Bożek, która była już i na Południu, i na Północy, stanowczo oponuje: polarniczki to nie są osoby przypadkowe, wiedzą, po co tam jadą, więc te kwestie nie spędzają im snu z powiek. Za pierwszym razem warto posłuchać bardziej doświadczonych. Ona sama usłyszała przed swoim



Fot. Anna Grehlenow

Joanna Plenzler, hydrolog, Wyspa Króla Jerzego, Antarktyka

debiutem od Marty Kondrackiej: koniecznie weź ze sobą czerwoną sukienkę. Po co? I dlaczego czerwona? Widziała wprawdzie zdjęcie, na którym jedna z jej bohaterek – Danuta Bednarek – pozuje w sukience, ale nie sądziła, że w tym klimacie to tak istotny atrybut. Wzięła. Ubrała się w nią raz – w Dzień Kobiet. Zadziałało. Poczuli się wyjątkowo, a męska część wyprawy wnet przypominała sobie o święcie – było pieczenie ciasta, wspólne oglądanie filmów... Tego typu rytuały przełamują żmudną codzienną pracę w stacji. Urodziny, rocznice, inne ważne święta przeżywa się tam wyjątkowo.

– To był marzec, kończyła się noc polarna, byliśmy po zimowej izolacji, w zamkniętym gronie. Dla psychiki nie było lepszego bodźca jak czerwony kolor w tym monochromatycznym krajobrazie – przyznaje Bożek.

Ten okres jest dla polarników najtrudniejszy. Mówi się nawet o syndromie trzeciej ćwiartki. Pojawia się właśnie w trzecim kwartale pobytu wraz z myślami o nadciągającym końcu wyprawy. Kalendarz jednak nie kłamie, zostają jeszcze trzy dłużące się niemiłosiernie miesiące. U niektórych następuje spadek samopoczucia, apatia, zdarzają się nastroje depresyjne.



Fot. Anna Samulda

Katarzyna Greń, geomorfolog, Lodowiec Ireny w rejonie Kafføyry (Ziemia Oskara II, Spitsbergen)



Dagmara Bożek podczas slipowania łodzi, fiord Hornsund, południowy Spitsbergen

Fot. Piotr Anielski

Towarzyszy temu osłabienie czujności, im bliżej końca, tym częściej zapomina się zabrać broń na wypadek spotkania z niedźwiedziem polarnym.

W takich momentach warto uciec od rzeczywistości w hobby, pasję, coś przyjemnego. Autorka „Polarniczek” prowadziła zajęcia językowe z rosyjskiego. Joanna Perchaluk-Mandat jak gdyby nigdy nic przygotowywała się do triathlonu. Patrycja Ulandowska, która właśnie teraz zimuje, dzięki Internetowi może praktykować jogę. Anna Rozwadowska wzięła ze sobą ramę tkacką, nie zdając sobie do końca sprawy, że czas pod biegunem płynie jednak inaczej. Niedokończony kilim ozdabia teraz jej sypialnię.

Bożek, znająca ten świat od podszewki, niejednokrotnie była też zaskakiwana. Jak wtedy, gdy okazało się, że w gronie polarniczek jest też Magdalena Tulli. Znana pisarka, absolwentka studiów biologicznych na UW, wyjechała w 1980 roku do „Arcytowskiego”. „Przyglądałam się ciekawie życiu grupowemu. Jest trochę inne niż w zwykłych warunkach. To sytuacja, w której – cokolwiek się wydarzy – nie można pójść do domu” – wspominała swój sześciomiesięczny pobyt.

Inne zdziwienie wywołała Barbara Wojtasiuk z Uniwersytetu Gdańskiego, która prowadziła badania w Hornsundzie i jako jedna z pierwszych kobiet przyjeżdżała na stację skuterem śnieżnym z oddalonego aż o 160 km miasteczka Longyearbyen, przemierzając po drodze dwa zamrożone fiordy. Jej zdaniem regiony polarne to nie jest miejsce dla kobiet, a przy najmniej nie dla każdej.

### Ulotny romantyzm

Najtrudniejsze zadanie stoi przed tymi, które sprawują obowiązki kierownika. Nie dość, że grupa zachowuje naturalny w takiej sytuacji dystans do lidera wyprawy, to jeszcze nie można pozwolić sobie ani na chwilę słabości. Świadomość, że jest się jedyną osobą, która za wszystko musi wziąć odpowiedzialność, bywa paraliżująca. Nawet jadąc kolejny raz, syndromu samotności kierownika nie można się pozbyć. Niełatwo też „żonie kierownika”, która musi sprostać próbie pogodze-

nia życia prywatnego przepłatającego się non stop przez okrągły rok z zawodowym.

Mimo tych problemów większość rozmówczyń jest zdania, że płeć nie powinna być czynnikiem decydującym o doborze uczestników. Według nich, należy brać pod uwagę przede wszystkim kompetencje. Wprawdzie ekspedycji z przewagą kobiet jeszcze nie było, ale w ostatnich dwóch, trzech latach proporcje zaczynają się wyrównywać. Bez wątpienia sprzyja temu rozwój technologii.

– Są dziewczyny, które prowadzą badania na morzu i często muszą pływać pontonami. Kiedyś silnik potrafił ważyć 50 kg i nie byłam w stanie sama go podnieść, a trzeba to zrobić, żeby śruba się nie obijała o kamienie. Zawsze trzeba było prosić kogoś o pomoc. Teraz są na tyle lekkie, że nie stanowi to problemu, podobnie jak ich odpalenie – twierdzi Bożek.

Kij ma jednak dwa końce. Technologiczne nowinki, które pojawiły się na przestrzeni lat, z pewnością ułatwiają życie w stacji, ale też przy okazji zmieniają ich atmosferę. W rozmowach ze starszym pokoleniem polarniczek często słyszała, że praca jest z pewnością dzięki nim wygodniejsza, lecz brakuje już dawnego romantyzmu. Wpływa to też na relacje międzyludzkie, które przeniosły się na Skypa. Nic więc dziwnego, że pionierki deklarują chęć powrotu, ale w miejsce, które zachowały w pamięci. Nie są pewne, czy udałoby im się wpisać w panujący obecnie klimat.

Całe szczęście, jednak nie wszystko w tym polarnym świecie zostało utracone.

– W dalszym ciągu mamy szansę poznać innych i siebie takimi, jacy jesteśmy. Bo ciężko przez cały czas udawać kogoś innego. Przez to te relacje są prawdziwe. Oczywiście, są i konflikty, ale i przyjaźnie na całe życie. W takich miejscach czuje się, jak każdy jest sobie nawzajem potrzebny. Samemu trudno byłoby w takich warunkach przetrwać – kończy autorka „Polarniczek”.